

0 przeciwnieństwach, które są tym samym

31 stycznia 2013

Nie będę używać słowa „ezoteryka”, ponieważ inżynierowie społeczni zadbali o to, żeby nadać temu słowu wypaczone i pejoratywne znaczenie. To samo zrobiono ze słowem „astrologia”, która przeciętnemu Kowalskiemu kojarzy się z głupimi „horoskopami” drukowanymi na ostatniej stronie kolorowych magazynów.

Nie będę również pisać o „oświeceniu”, bo jedynymi mi znanymi oświeconymi (światłem energooszczędnej „żarówki” rtęciowej) są wyznawcy Kartezjusza i pogrobowcy epoki oświecenia.

Nie uważam się za osobę oświeconą, lecz za PRZEBUDZONĄ. W świecie, w którym większość społeczeństwa stanowią osoby pogrążone w głębokiej hipnozie los przebudzonego jest nie do pozazdroszczenia. Lunatycy traktują go jak wariata lub wyznawcę teorii spiskowych, a przede wszystkim zagrożenie dla ich słodkiego snu na jawie. Z tego względu przebudzeni najczęściej udają się na wewnętrzną emigrację duchową i nie przyznają się do tego, że widzą świat inaczej, niż reszta ludzkości. Doświadczenie bardzo szybko i boleśnie uczy ich, że w świecie śpiących należy chodzić na paluszkach i że przede wszystkim, pod żadnym pozorem, nie wolno budzić kogokolwiek, gdyż osobnik nieprzygotowany na to, co zobaczy na jawie, wpada we wściekłość i może stać się groźny dla budziciela.

Z tego właśnie powodu wszystkie szkoły rozwoju duchowego działały w ukryciu, a ich wiedzę nazywano „tajemną”. Tej wiedzy wcale nie trzeba było ukrywać, ponieważ chroniła się ona sama, tym, że była niezrozumiała dla wszystkich, którzy nie dorośli (nie „przebudzili się” lub „nie narodzili się ponownie”, o czym nauczał Jezus) do jej zrozumienia.

Z tego powodu, w przeciwnieństwie do ludzi religijnych i

racjonalistów, przebudzeni nie prowadzą działalności misyjnej. Jak powiadają, kiedy uczeń jest gotowy, nauczyciel znajdzie się sam. Mój blog również nie jest misjonarski, chociaż na pewno ma misję do spełnienia. Tą misją jest obwieszczenie dobrej nowiny, że rozsiani po świecie i zagubieni przebudzeni nie są sami. Jest nas więcej, więc nie musimy się czuć, jakbyśmy byli nienormalni. Jesteśmy bardziej normalni, niż ci, którzy się za normalnych uważają – bo oni są pogrążeni w hipnozie, a my nie!

Czym się różni misja od misjonarstwa? Misjonarstwo polega na inwazji na cudze terytorium i nawracaniu „tubylców” na swoje (zupełnie niemądre) wierzenia. Najbardziej znanym i oczywistym przykładem są biali księża, którzy jadą do Afryki i narzucają czarnym swoją religię. Misjonarze racjonalistyczni to ekipa Barta, która dokonuje zmasowanego desantu na cudzy blog i argumentami siły próbuje wybić autorowi z głowy „niesłuszne” poglądy, a na ich miejsce narzucić mu swoje przekonania. Święta inkwizycja przebranżowiła się z religijnej w (pseudo)naukową, ale wciąż ma się dobrze, i niestety, rośnie w siłę. Oby to się nie skończyło paleniem heretyków podważających materialistyczne dogmaty na stosie atomowym...

Mój blog nie raz stał się obiektem działania misjonarzy, zarówno religijnych, jak i racjonalistycznych, ale, co oczywiste, oparłam się wszelkiej inwazji i wciąż tu jestem.

Skoro jesteśmy przy temacie wiary i wiedzy wyjaśnimy sobie to i owo. Zarówno misjonarze religijni, jak i racjonalistyczni zadają mi takie same pytania: „Dlaczego nie chcesz ze mną dyskutować?! Dlaczego banujesz ludzi, którzy mają inne zdanie? Unikasz dyskusji jak diabeł święconej wody. Ciekawe dlaczego? Pewnie nie masz nic na obronę swoich wierzeń i boisz się, że w ogniu racjonalnych argumentów runą jak domek z kart!” Identyczność ich pytań potwierdza moją tezę, że przeciwieństwa są tym samym. Wyjaśnię więc w tej notce łopatologicznie i w punktach, dlaczego nie podejmuję dyskusji z misjonarzami.

Misjonarze dowolnego nurtu dostają u mnie bana, ponieważ każdy misjonarz to prymityw i najeźdźca, uważający, że tylko jego światopogląd jest słuszny, a inni ludzie to głupcy, których należy skierować na „właściwe” (czyli „mojsze”) tory. Nie ma możliwości, żebym w starciu z argumentami mogła stracić WIARĘ z bardzo prostego powodu: jestem EMPIRYCZKĄ, więc kieruję się tym, co widzę, słyszę i czuję własnymi zmysłami, a nie wiarą w słowa dowolnego rodzaju autorytetu.

Pochodzę z rodziny, że tak powiem, głęboko agnostycznej. Moi rodzice i dziadkowie nie wierzyli nie tylko w religijne bajki, ale również w ateizm, socjalizm, kapitalizm, propagandę mediów ani bujdy polityków. Można powiedzieć, że nie wierzyli w nic. I ja to po nich odziedziczyłam. No cóż, nie dość, że geny, to jeszcze aspołeczne wychowanie, więc nic na to poradzić nie mogę, że jestem nieuleczalnie niewierząca. Zamiast wierzyć autorytetom lub tzw. „wszystkim” (znacie to hasło: „wszyscy to wiedzą / tak robią / tak myślą / zgadzają się z tym”... jedźcie główna, bo miliony much nie mogą się mylić), wolę osobiście sprawdzić każdy trop. Sprawdziłam więc również katolicyzm, Świadków Jehowy, tzw. „racjonalizm” i ateizm i wyszło mi, że to nic innego, jak kolejne pułapki dla stadnych owiec.

Jeśli czegoś nie wiem, szukam wiedzy i nie podejmuję tematu, dopóki się nie dowiem wszystkiego, co mnie interesuje. Dlatego, jeśli coś piszę, oparte jest to na solidnym fundamencie poszukiwań, przemyśleń i osobistej obserwacji oraz zweryfikowane przez praktykę. Dlatego żadne, nawet najbardziej zażarte dyskusje nie zmieniają moich przekonań.

Nie mam obowiązku dyskutować z każdym, kto rzuci mi rękawicę. Gdybym dyskutowała z każdym, kto rzuci mi wyzwanie nie miałabym czasu ani energii na nic innego. Przez wszystkie lata, od kiedy podłączyłam się na stałe do Internetu (czyli od stycznia 2000 roku) należałam do wielu grup dyskusyjnych i każdy interesujący mnie problem przedyskutowałam gruntownie wiele razy. Mam prawo poczuć się zmęczona koniecznością tłumaczenia wciąż tego samego każdemu z osobna. Żeby tego

uniknąć stworzyłam te strony, które widać na górze bloga. Każdy, kto chce się dowiedzieć, co sędzę na dany temat może tam zajrzeć i przeczytać. A najlepiej poszukać wiedzy samodzielnie.

Powtórzę po raz n-ty: o faktach się nie dyskutuje, fakty przyjmuje się do wiadomości. Jeśli coś zostało udowodnione naukowo lub jeśli śledztwo wykazało, że „autorytety” kłamią dla osobistych korzyści (GMO, globalne ocieplenie, szczepienia itp.), to nawet 100, 1000, czy 1000 000 podpisów lub inny konsensus „najwybitniejszych uczonych świata” nie sprawi, że fakty ulegną zmianie!

Kiedyś nauka oparta była na dowodach. Dziś oparta jest na grantach. I na politycznej (a raczej korporacyjnej) poprawności. Społegliwy uczony może liczyć na kasę, sławę i wpływowe stanowiska. Dziś światem rządzą korporacje, więc nauka musi dostarczać dowodów, które zwiększają ich zyski, choćby działało się to kosztem zdrowia i życia ludzi. Dlatego „wybitni uczeni” zajmują się dziś fabrykowaniem dowodów na to, że aspartam i margaryna są zdrowe, że klimat się ociepla z powodu nadmiernej emisji dwutlenku węgla, że onkochemia leczy nie tylko raka, ale każdą chorobę z awitaminozą włącznie, że szczepienia ratują zdrowie i życie, że GMO nie tylko jest bezpieczne dla zdrowia, ale jest wielkim postępem naukowym i ratunkiem przed głodem itp. Tak naprawdę te wszystkie „odkrycia” są jedynie dojną krową dla korporacji, które zarabiają na tym miliardy dolarów rocznie. A dla ludzkości to wszystko jest prostą drogą do zagłady. Niestety, lunatycy pogrążeni w śnie hipnotycznym nie są w stanie tego dostrzec, więc muszą się tym zająć przebudzeni, których wzywam do działania.

Do prawdy nie doszłam dzięki ognistym dyskusjom typu „strzyżono-golono”, lecz zupełnie innymi metodami!

Dyskusje z pseudo-racjonalistami przypominają odpieranie ataku ciężkozbrojnych rycerzy z zakutymi łbami na twierdzę bronioną

przez wolnomyślnych heretyków. Jest oczywiste, że w tak prowadzonych zażartych dyskusjach nie chodzi o prawdę, lecz o triumf mojszości.

Owszem, przyznaję, że z dyskusji na różnych forach można się dowiedzieć rzeczy, o których istnieniu nie miało się pojęcia, ponieważ jest mnóstwo tematów, których korporacyjne media (tak, wszystkie media są własnością korporacji, więc nie służą do informowania, lecz do urabiania opinii publicznej) unikają jak ognia i takich, które nie są wykładane w szkole, ale to wszystko, co mogą dać ci fora – dostarczą ci informacji, że istnieje temat, który sam/a musisz zbadać. Walki toczone w forach o to, kto ma rację są stratą czasu, bo są one niczym innym, niż misjonarstwem, czyli potrzebą nawrócenia „heretyków” na jedynie-słuszne dogmaty. Prawda nie zależy od ilości ani siły głosów, które zgromadzi w forum. Prawda albo jest prawdą, albo nie jest i żaden konsensus tego nie zmieni. I nigdy nie zapominaj o ostrzeżeniu przedstawionym w punkcie 2, czyli o istnieniu nauki opartej na grantach, a nie na dowodach!!!

Nie interesują mnie żadne teorie, więc w blogu się nimi nie zajmuję! Mnie interesuje wyłącznie praktyka. Jeśli coś jest skuteczne, jak np. medycyna naturalna, homeopatia czy astrologia, to należy to stosować, a nie dyskutować „jak to działa” lub „czy to jest zgodne z nauką”. Po co godzinami maglować problem, czy placebo jest naukowe, skoro wiadomo, że działa ono również w medycynie alopacyjnej. Lekarze znają mnóstwo przypadków, kiedy lekarz otworzył brzuch chorego i natychmiast go zaszył, ponieważ nowotwór był zbyt rozległy, żeby go operować. Jeśli jednak pacjent głęboko wierzył w skuteczność operacji rak znika bez leczenia.

Użyteczni idioci. Zastanawiałam się, co to za ludzie. Czy ktoś im płaci za tę szkodliwą działalność? Wygląda na to, że nie. To najbardziej niebezpieczny gatunek agresywnych szkodników o autorytarnej osobowości, czyli osobnicy, którzy zawsze ślepo i gorliwie są posłuszni ideologii głoszonej przez sprawujące

władzę autorytetu. Jeśli jest to władza faszystowska, może liczyć na tych gorliwych siepaczy, którzy nie proszeni przez nikogo ruszą w świat ze szczerą nienawiścią z sercu, zabijać i palić każdego, kto wydaje się być w opozycji do obowiązujących trendów. I nie ma znaczenia, czy chodzi tu o religię, politykę, czy o dowolną inną ideologię, taką jak np. „nauka”.

Autor: Maria Sobolewska

Źródło: [Jestem za, a nawet przeciw](#)